

„RZECZ

Ernest Bryll zadebiutował w 1958 r. tomikiem wierszy „Wigilia wariata”, po którym w szybkim czasie ukazały się dalsze zbiory jego poezji. Wprawdzie dziś pasjonuje go również proza, niemniej utalentowany pisarz ten pozostał wierny poezji: i to właśnie zdecydowało o formie oraz nastroju jego sztuki teatralnej „Rzecz listopadowa”, którą zadebiutował teraz jako dramaturg.

Bryll napisał ją wierszem, w którym dźwięczą echa poezji romantycznej — Mickiewicza, Słowackiego, a przede wszystkim późniejszego od nich Wyspiańskiego. Zresztą autor „Rzeczy listopadowej” świadomie wypożyczył od autora „Nocy listopadowej” nie tylko pewne niuanse wersyfikacyjne. Wyspiański jest również inspiratorem różnych treściowych i ideologicznych dygresji „Rzeczy listopadowej”. Niektóre partie tej sztuki stanowią też jak gdyby parodię „Wesela” przy czym naturalnie — mówiąc obrazowo — melodię „złotego rogu” zastąpiono tu rytmem swinga, jako że akcja tej „szopki narodowej” rozgrywa się na płaszczyźnie współczesności.

Trudno tu zresztą mówić o akcji w dosłownym słowa tego znaczeniu. „Rzecz listopadowa” to świetny konglomerat fragmentarycznych scen i obrazów łączonych w dramaturgiczną całość spojrzeniem Obcego — „Anglika z Kołomyi”, reportera zagranicznych pism, który, wróciwszy po latach do kraju, zbiera tu materiały dla swoich pism. Z nim też odbywamy przechadzkę po Warszawie „mieście-grobowcu” — po jej przeszłości i dniu dzisiejszym, rzecz zaś dzieje się w wieczór zaduszkowy, jako że „jest u nas w kraju jedno święto takie, kiedy się rozumieją Polacy z Polakiem”...

Sztuka sama oparta o rzetelną analizę konkretnej sytuacji jest próbą polemiki z widzeniem Polski dzisiejszej. Zestawiono w niej wszystkie nasze komplekсы narodowe. Mówi ona o naszej mitomanii, o nierozgradzaniu legendy od realnej prawdy. Są w niej wypady w stronę naszej literatury, filmu i prasy, jest wykiwanie współczesnej big-beatowej młodzieży, plag alkoholizmu itd. Na wszystko to rzucają tragiczny cień wspomnienia wojny, jakże naturalne w kraju, gdzie wciąż jeszcze patrzymy na dzień dzisiejszy poprzez dymy, które ćwierć wieku temu rozwiewały się nad kominami krematoryjnymi obozów koncentracyjnych, gdzie zapach krwi przelanej przed laty przez hitlerowskich zbrodniarzy przytłumia woń kwitnących dzisiaj róż... W tym osobliwym kraju, w którym podczas wojny, kiedy zaszła tego potrzeba, „strzelaliśmy brylantami”, a dziś nie wszyscy rozumiemy, że to, co stanowiło naszą siłę w czasie wojny, stać się może dla narodu zabójstwem teraz, kiedy budujemy nową rzeczywistość.

Napisana z talentem i wielką pasją sztuka Ernesta Brylla jest gorzka i cierpka, jak każda prawda, któ-

listopadowa“

rej nie upiększa legenda. Całość utrzymano w kolorze nokturnowym. Autor nie stara się znaleźć cudownego panaceum i gotowych formuł mających zdecydować „o naprawie Rzeczypospolitej”. Zamiast obywatelskich jeremiad Skargi, więcej tu mądrej ironii Stańczyka. Ale jakie wyciągnąć wnioski? Autor uważa, że odpowiedź na to pytanie ma dać nam nasze sumienie, jako że właśnie do sumienia narodowego zaadresowano sztukę...

Jest w akcie III bardzo znamienna wypowiedź Kanalarza, który na zapytanie Obcego, co kryją podziemne ścieki Warszawy, odpowiada:

...Wszystko co było potrzebne w tych kanałach. Co z głupotą zgnilo,
Co ogniem się paliło...
Pociski z Gewehra
kropie ołowiu z knuta, okrawki bandaży...
Czasem kościotrup jeszcze, czasem obłamek z ordęra...
Czasem znak jak ostatnia pionąca litera
w kamieniu wydrapana...
Jakby tam umierał
człowiek z samego ognia...

Podobnie różnorodnie jest i w samej sztuce. Autor zmasował w niej mnóstwo nieczystości, treść próchna, śmieci i negacji, jednakże pod warstwą ich przepływa niezmiennie, krystalicznie czysty nurt patriotyzmu. Jeśli więc Bryll atakuje, robi to z pozycji szczerego Polaka: „gryzie sercem”!

Wziął to pod uwagę Roman Sykała, bardzo fortunny reżyser „Rzeczy listopadowej”, „wystawionej obecnie (i to z wielkim sukcesem!) na scenie Teatru Powszechnego. Sykała zadbał nie tylko o to, żeby nowoczesnej sztuce Brylla dać nowoczesny kształt inscenizacyjny. Zgodnie z intencją autora zaostrzając satyryczne akcenty spektaklu, pamiętał również o tym, żeby nie stłumić iskry myśli polityczno-narodowej drzemiącej pod popiołami szyderstwa i ironii. Zadbął, żeby ideologii i treści tej niełatwej, obfitującej w aluzje i parabolę sztuki nie zaciemnić dodatkowymi udziwnieniami, lecz by przy wyrazistym sprzeciwianiu poszeze-gólnych racji, dać spektakl zrozumiały dla największej ilości widzów.

Na charakterze przedstawienia łódzkiego poważnie zawążył fakt, że widzące postacie Pierwszego (znakomity Janusz Kubicki) oraz Drugiego (wybornie sekundujący mu Eugeniusz Kamiński) były — w odróżnieniu od spektaklu we Wrocławiu — bardzo autentyczne i wyraziste, że argumenty, którymi szermowały one, były konkretne i klarowne.

Analogiczna pochwała należy się niezawodnemu — jak zawsze — Jerzemu Przytylskiemu (Ojciec panny młodej). Niepotrzebnymi grykami nie pomniejszał wagi roli Obcego — Tadeusz Sabara. Jadwiga Andrzejewska naprawdę wzruszająco oddała dramatał starą matkę, czekającą na prozno (jak tysiące innych matek — Polek) na powrót syna. Ze szczerą melancholią przyglądał się „nowym czasom” Stary Poeta w interpretacji Czesława Przybyły, a z plebejskim humorem filozofował Włodzimierz Skoczyła jako Kanalarz.

Konsekwentnie demaskowali „sprawiedliwość” boskiego sądownictwa Janusz Mazanek, Ryszard Zukowski, Antoni Zukowski (Pan I, II i III). W rytm sztuki trafnie wplatali swoje kwestie Zbigniew Niewczas (Artysta), Halina Pawłowicz (Kobieta), Mirosław Szonert (Reżyser), Jadwiga Sienicka (Dziennikarka) i pozostali — a więc cały niemal zespół Teatru Powszechnego.

Tak zrealizowana sztuka w skrótovej, sugestywnej scenografii Zbigniewa Bednarowicza stała się ewenementem teatralnym naszego miasta.

MIECZYSLAW JAGOSZEWSKI

DZIENNIK ŁÓDZKI nr 288 (6333) 3